

MANSARDA POD ANIOŁAMI

Listy
i
szept

AGNIESZKA
OLEJNIK

FILIA

AGNIESZKA
OLEJNIK

Listy
i
szeptety

MANSARDA POD ANIOŁAMI

FILIA

ROZDZIAŁ 1

Tamta jesień była brzydka, zimniejsza niż zwykle, mokra i wietrzna. Mieczysławę Botulę wciąż pobolewała głowa, raz i drugi zasłabła podczas usuwania zeschniętych liści z rabat kwiatowych. Z dnia na dzień czuła się coraz gorzej, ale nie skarżyła się, choćby z tego powodu, że nie miała komu opowiedzieć o swoim samopoczuciu.

Wreszcie pewnego dnia wszelkie dźwięki zniknęły, a Mieczysława poczuła się wiotka jak kwiat, któremu ktoś zapomniał dolać wody do wazonu. Dokładnie tak. Nie była w stanie poruszyć żadną częścią ciała, wydać z siebie głosu ani zareagować w jakikolwiek sposób na czyjeś słowa.

Cisza, która otoczyła ją niczym miękkiego kokona, nie była jednak prawdziwą ciszą, lecz czymś w rodzaju szumu pulsującego w tempie bicia serca. Niekiedy ten rytm przyspieszał gwałtownie, ale bywało też, że zwalniał w nienaturalny sposób. Minęło sporo czasu – Micia nie umiałaby określić,

czy były to dni, tygodnie, miesiące, czy może lata – zanim w owym szumie i w wewnętrznych szelestach własnego ciała nauczyła się drążyć swego rodzaju tunel, przez który jej świadomość wydostała się na zewnątrz, ku światu.

Najpierw pojawił się mężczyzna. Wiedziała, że go zna, ale nie potrafiła nadać mu imienia. Sama w sobie jego obecność nie była ani przykra, ani przyjemna. Jedyne błękitne oczy przybysza budziły w niej niejasny niepokój. Wyselekcjonowała to oblicze z kilku innych, tworzących jasne plamy – tamte twarze nic nie znaczyły, a ta jedna miała wielką wagę. Lecz Mieczysława nie wiedziała, dlaczego.

Ten właśnie niebieskooki mężczyzna zabrał ją z miejsca, w którym wszystko było obce, do dobrze znanego wnętrza. Nie była pewna, skąd je zna – czy to jej dom, czy raczej tego mężczyzny – ale czuła się w nim bezpiecznie. Zresztą pragnęła tylko spokoju. Chciała spać... Najlepiej byłoby już nigdy się nie obudzić. Sen wyciszał wszystkie te nagłe drgania pamięci, które usiłowały wyrwać się z zakamarków mózgu.

Wiotkość ciała ustąpiła jedynie po lewej stronie – po prawej pozostała nadal, przeszkadzała, męczyła, wręcz bolała. Ludzie o twarzach pozbawionych znaczenia kazali jej podnosić szklanekę do ust, używać sztucców i stawiać niezdarne kroki. Młody człowiek patrzący spod brązowych loków masował, oklepywał i szczypał, a wówczas Mieczysława jęczała z bólu. Chciała mu powiedzieć, żeby

przestał, lecz nie potrafiła ułożyć odpowiednich słów. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, co się robi z językiem, żeby mówić.

Na koniec pojawiła się dziewczyna. Błękitnooki mężczyzna zniknął, ale dziewczyna miała jego spojrzenie, tak samo niebieskie i równie niepokojące. Mieczysław z niewiadomych przyczyn irytowała ta barwa tęczy. Złościła ją także sama obecność tej energicznej istoty, nie mówiąc o jej nieustannym trajkotaniu, które przebijało się przez szumy i trzaski w głowie.

Miała na imię Lena. Tak powiedziała. Ta dziewczyna.

Pamięć wciąż pozostawała mętna niczym woda na mokradłach, ale zdarzały się dni, kiedy Mieczysławie na chwilę robiło się w głowie klarowniej. Na przykład wtedy, gdy Lena wspomniała o poddaszu i roślinach. Wówczas na moment w umyśle chorej pojawiła się twarz bruneta o przenikliwym, szarym spojrzeniu. Mówił coś, ale słów Mieczysława nie potrafiła sobie przypomnieć. Wiedziała jednak, że i twarz, i słowa były dobre.

Pogubiły się gdzieś zdarzenia niedawne, za to z czeluści zapomnienia zaczęły wyzierać te, które musiały mieć miejsce dziesiątki lat temu. Obrazy miały inną perspektywę, jak zdjęcia robione z dołu, z pozycji dziecka. Początkowo były równie nieostre, co odbicie w tamtej mętnej wodzie, którą Micia gdzieś widziała i tylko nie była pewna, gdzie – ale później stały się boleśnie wyraźne.

Któregoś dnia Lena pokazała Mieczysławie zabawkę – wydzierganego na szydełku białego niedźwiadka, otulonego czerwonym szalikiem. Tego popołudnia po raz pierwszy Mieczysława obudziła się z poobiedniej drzemki w całkiem innym miejscu. Zupełnie jakby ktoś przewinął w jej głowie szpulę z filmem i seans rozpoczął się od początku.

Rzeka pachniała tak, jak miała nie pachnieć potem żadna inna... Miecia stała na brzegu i po prostu wdychała ten zapach – aromat jesieni, nieznannej przyszłości i chłodnej wilgoci. Był listopad, zbliżała się zima. Lada dzień nurt miał się skryć pod lodową skorupą.

Po drodze do Leplówki mijala kapliczkę. Jak zawsze zatrzymała się na kilka minut, przyklękała i odmówiła modlitwę za rodziców. Za nieżyjącą już mamę i za ojca, który może nadal błąkał się po świecie, nie mogąc wrócić do domu.

Powołali go do wojska jeszcze w trzydziestym dziewiątym i od tamtej pory nikt o nim nie słyszał. Mama została sama z trojgiem dzieci: Halinką, Mietką i Stasiem. Chłopiec był tylko o rok młodszy od Mietki, ale zginął zaraz na początku wojny, kiedy zaczęły się naloty. Głuptas jeden, myślał, że skoro szybko biega, ucieknie przed każdą bombą. Nie zdołał. Nawet nie było czego do trumny włożyć. Zakrwawione szmatki, i tyle.

Mamie było ciężko samej z dwiema córkami. Pobliskie Domaczewo zostało zajęte przez wojska radzieckie. Miecia pamiętała, jak matka zakopywała żywność w ogrodzie, tak bardzo się bała, że Rosjanie odbiorą im nawet te nędzne

zapasy. Potem, w czterdziestym pierwszym, przyszli Niemcy. W poszukiwaniu partyzantów zaglądali w każdy kąt. Micia długo jeszcze śniła taki sen: żołnierz w brzydkim niemieckim mundurze otwiera kufer z ubraniami, a tam trup, na poły już nadgniłe ciało jej ojca – i tylko twarz nienaruszona. Chociaż na jawie dziewczynka nie pamiętała nawet, jak tata wyglądał.

Miała dziesięć lat, kiedy skończyła się wojna. Wystarczająco dużo, by rozumieć, że świat nie zmieni się teraz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale na tyle mało, aby naiwnie wierzyć, że wszystko, co najgorsze, jest już za nimi. Myliła się.

Po pierwsze, nie mieszkali już w Polsce. Ich dom znalazł się w granicach Związku Radzieckiego. Po drugie, nadal panował głód. Ziemię i większość zwierząt gospodarskich zabrano do kolchozu. Do Botulów przyłgnęło pogardliwe i niebezpieczne określenie „kutaczki”. Mama rozchorowała się i całymi dniami leżała z opuchniętymi nogami, które podobne były raczej do kłód niż do ludzkich kończyn. Starsza siostra, Halinka, podjęła pracę w sierocińcu, a Micia zajmowała się Paszką, dwuletnim synkiem lokalnego felczera, rodowitego Rosjanina. W zamian za opiekę nad dzieckiem mama Paszki karmiła Micię, czasem dawała jej podniszczone, niepotrzebne już ubrania, a raz nawet podarowała dziewczynce buty. Ale Mieczysław oddał je siostrze, bo na nią i tak były za duże – a zresztą Halinka była już panienką, jej pantofle były bardziej potrzebne...

W czterdziestym siódmym wydawało się, że ich los poprawi się trochę, bo w Halince zakochał się Edward Knus z Domaczewa. Chłopak pochodził z rodziny olędrów, jak mówiono na potomków dawnych kolonistów niemieckich.

– Mowy nie ma – oświadczyła matka, gdy usłyszała, że Halinka chce iść za mąż za Edwarda. – On Niemiec, a Niemce ci ojca zabrali. I pewnie nawet nie katolik.

– Mamo, jaki znowu Niemiec? Olęder. Z dziada pradziada mieszkają w Domaczewie, po polsku przecież gadają. A że nie katolik, to co złego? Ewangelicy też pobożni ludzie.

– Musi być szpieg jaki, enkawudzista. Inaczej już by go dawno wywieźli, przecie w czasie wojny olędrów stąd wywozili.

Edward rzeczywiście uniknął wywózki do Wielkopolski i dalej pod Drezno, a to dlatego, że kiedy w czterdziestym czwartym ludność pochodzenia niemieckiego i holenderskiego wywożono z Domaczewa, przebywał akurat u dalekich kuzynów na Żuławach. Gdy wrócił, zastał puste chatupy, które zresztą wkrótce – z rozkazu władzy radzieckiej – spalono. Nastolatka przygarnęli sąsiedzi Białorusini, bo chłopak, choć zupełnie obcy i taki smarkaty, jak nikt znał się na rolnictwie i robieniu serów, a u nich chłopów w gospodarstwie brakowało, wszyscy na wojnie zginęli.

Stefania Botula psioczyła, że gorzej już córka trafić nie mogła, chłopak przecież sierota i obcy, nie nasz, że wstyd za mąż iść za Niemca, prawie jak za Ruskiego. Ale kiedy Halinka rozplakała się i jęknęła, że w takim razie mniejszy

wstyd będzie pannie z brzuchem chodzić, matka ustąpiła i na ślub zgodę dała.

Micia nie bardzo rozumiała, co ma tu brzuch do rzeczy, ale wkrótce pojęła, bo w rodzinie pojawiła się śliczna dziewczynka, której dały na imię Antonina. Edward okazał się pracowitym, spokojnym mężem, a kiedy Stefania Botula umarła zaraz po narodzinach wnuczki, stał się prawdziwą podporą dla obu otepliałych ze smutku siostr. Gdyby nie on, pomartyby pewnie z głodu. Jak umiał, zajmował się Tosią, przynosił ją pogrążonej w apatii młodej matce do karmienia, a nawet zupełnie co dzień gotował, żeby Halinka nie straciła pokarmu.

Smutek po śmierci mamy minął w końcu, jak mija zawsze, po każdej stracie. Edek pracował w kolchozie i zajmował się maleńkim gospodarstwem, Micia pilnowała małego Paszki, a Halinka dbała o dom i pielęgnowała Tosieńkę. Jakoś im się żyło, a choć głodno i w biedzie, to przecież wciąż mieli nadzieję, że skoro wojna minęła, z każdym rokiem musi być lepiej.

ROZDZIAŁ 2

Lena była ostatnio bardzo zmęczona. Kiedy tydzień po Nowym Roku Mieczysławę Botulę wypisano ze szpitala, lekarz nie miał dla jej wnuczki dobrych wieści.

– Wie pani, mogły się nałożyć dwie sprawy. – Potarł czoło z zakłopotaniem. – Problem w tym, że skoro pacjentka mieszkała wcześniej sama, zmiany mogły zachodzić niezauważenie.

– Jakie zmiany ma pan na myśli?

– Demencję – wyjaśnił. – Być może ona już wcześniej nie kojarzyła, zapominała, kim jest i gdzie się znajduje. Wylew mógł się zdarzyć zupełnie niezależnie od tego i teraz trudno nam ocenić, na ile stan babci jest wynikiem świeżych uszkodzeń mózgu, a na ile stanowi efekt procesów postępujących stopniowo, już od jakiegoś czasu.

– Panie doktorze, proszę tylko powiedzieć, czy możemy liczyć, że stan babci się poprawi – poprosiła Lena.

– Nie robiłbym sobie wielkich nadziei.

– Rozumiem.

Tak więc wielkich nadziei dziewczyna nie miała. Właściwie liczyła już tylko na to, że babcia wróci do stanu z października, kiedy to Helena przyjechała z rodzinnego Karbowa do Lubka, żeby zająć się staruszką. Zamieszkała w kamienicy z figurami aniołów na mansardowym poddaszu, zaprzyjaźniła się z pozostałymi mieszkańcami – i opiekowała się babcią Mieczysławą w nadziei na rychłą poprawę stanu jej zdrowia. Niestety, zamiast tego przyszło pogorszenie.

Wtedy, jesienią, wzrok staruszki wyrażał przynajmniej jakieś emocje. Wprawdzie nie mówiła, ale fukała, pojękiwała, reagowała na słowa wnuczki, a nawet zdarzało jej się krzyczeć podczas zabiegów. Teraz, po wyjściu ze szpitala, babcia zaczęła co prawda mówić, jednak Lena czasem myślała, że nawet tamte jęki były lepsze niż absurdalne słowa i zupełnie pozbawione sensu zdania wypowiedane bez związku z tym, co się wokół babci działo.

Opieka nad staruszką była teraz trudniejsza również dlatego, że Mieczysława stała się zupełnie bierna. Wcześniej sama jadła posiłki, a jeśli szło jej to bardzo powoli i szybko się męczyła, Lenka pomagała jej trochę; lecz przynajmniej babcia chętnie otwierała usta i generalnie wyglądało na to, że chce współpracować. Teraz zajmowanie się nią przypominało pielęgnację gumowej lalki. Chora jadła bardzo niewiele, a żeby ją w ogóle zacząć karmić,

trzeba było kilka razy dotknąć łyżką jej warg. Przeżuwała posiłki powoli, zapominała o przełykaniu, zamykała oczy. Lenka obawiała się, że babcia w każdej chwili może się zadławić.

Tylko nieco lepiej wyglądała sprawa korzystania z toalety – na szczęście staruszka pozwalała się zaprowadzić do ubikacji, w ślimaczym tempie stawiała krok za krokiem. Niestety, pewnego dnia stało się też to, czego od początku dziewczyna się obawiała – i trzeba było zacząć korzystać z pieluchomajtek. Na szczęście pierwsza wpadka z nietrzymaniem moczu zdarzyła się nie w łóżku, lecz na krześle, podczas jedzenia kolacji.

Niektóre wykonywane wcześniej przez Jakuba zabiegi rehabilitacyjne straciły sens, bo pacjentka przestała reagować na polecenia, a jednak chłopak przychodził nadal, ponieważ masaże, oklepywanie czy oszcypywanie były wskazane również w przypadku osoby zupełnie biernej. Lena doskonale wiedziała, że Jakub nalega na kontynuowanie zabiegów również dlatego, że w takie wieczory zostawał u Leny na noc. Początkowo miała wyrzuty sumienia, bo w końcu to nie było jej mieszkanie i nie powinna przyjmować w nim mężczyzny, jednak Kuba skutecznie wybił jej podobne myśli z głowy.

– Nie robimy nic złego. Nie chcesz chyba zamienić się w zakonnicę, prawda? Przecież zachowujemy się dyskretnie – przekonywał. – Nie chodzę po mieszkaniu, siedzę cichutko w twoim pokoju i tyle. A że się trochę poprzytulały,

podarujemy sobie odrobinę miłości...? Co w tym złego? Każdy powinien dostać swoją porcję pieśczęt.

– Ale niekoniecznie tutaj – oponowała Helena.

– W takim razie zabierz mnie do magicznej mansardy – droczył się.

– O nie! Nawet o tym nie myśl. Chodzę tam tylko po to, żeby podlać kwiatki.

– Właśnie. A poza tym nie chodzisz nigdzie, nie dajesz się nawet wyciągnąć na piwo z moimi przyjaciółmi. Raz w tygodniu babski wieczór z koleżankami, dwie noce w tygodniu ze mną i tyle masz ze swojego życia. Przecież nie możesz dać się tu замуrować żywcem! Gdyby nie moje pocałunki, już byś się dawno zamieniła w lód.

Niewątpliwie miał sporo racji. Helena sama niekiedy łapała się na tym, że więcej czasu i uwagi poświęca cudzym sprawom niż własnym. Zamiast szukać sposobów na rozładowanie napięcia coraz częściej towarzyszącego opiece nad babcią, zamiast sprawiać sobie drobne przyjemności i zadbać o własne szczęście, dziewczyna żyła problemami innych. Znacznie bardziej niż sobą interesowała się życiem pani Klary z pierwszego piętra, której nosiła smakołyki i z którą wychylała czasem kieliszek nalewki, żeby starsza pani nie czuła się samotna; godzinami dyskutowała z Francescą o jej pomysłach na asortyment sklepu o nazwie „Cudeńka”, przeżywała uczuciowe wzloty i upadki Beaty Markiewicz – wiarołomnej żony, która próbowała posklejać swoje małżeństwo, a wreszcie

usiłowała pomóc osiemnastoletniej Marcelinie – dziewczynie tak kolczastej i zamkniętej w sobie, że wszystkim wydało się cudem, gdy pewnego dnia zaczęła normalnie odzywać się do rodziców.

Gdyby ktoś zapytał Helenę Botulę, czy jest szczęśliwa, bez wahania odpowiedziałaby twierdząco. Z natury pogodna, nigdy nie narzekała, a ilekroć natrafiała na przeszkodę, pokonywała ją z uśmiechem i optymizmem. Tym swoim pozytywnym podejściem do życia zarażała innych, zjednując sobie ich serca, zdobywając szczerą przyjaźń i wdzięczność. Nie zauważała tylko, że w jej własnym życiu uczuciowym coś nie gra, jakaś nuta brzmi fałszywie.

Ilekroć Jakub obdarzał ją czułością, kuliła się w sobie, jakby chciała cofnąć się o krok, zostawić trochę przestrzeni, stworzyć strefę, do której nikt nie będzie miał wstępu. Zastanawiała się, czy tak powinno być w miłości, i za każdym razem dochodziła do wniosku, że nie, nie powinno. Miłość to bliskość, mówiła sobie w duchu, a bliskość oznacza, że granice między jego ciałem a moim powinny się zacierać. Gdybym naprawdę kochała Kubę, odczuwałabym dotyk jego dłoni jak mojej własnej, jego skóra stapałaby się z moją w cudowną jedność.

Za każdym razem, gdy dopadały ją podobne myśli, usiłowała tłumaczyć to sobie racjonalnie, jak dziecku, które niewiele jeszcze rozumie: masz problem z otwarciem się na drugiego człowieka, ponieważ cię zraniono. Trochę potrwa, zanim znowu bezgranicznie zaufasz mężczyźnie.

Argument był słuszny. Lena dobrze wiedziała, że na pewne sprawy potrzeba czasu – a jednak bywało, że kiedy Jakub wychodził od niej rano, całując ją na pożegnanie i szepcząc czułe słówka, chciało jej się płakać – i wcale nie z powodu rozstania. Miała wrażenie, że jest jej smutno dlatego, że spędziła z nim noc.

ROZDZIAŁ 3

Marcelina schowała komórkę do kieszeni, kątem oka łowiąc spojrzenie Huberta Ksyka, który siedział w sąsiednim rzędzie ławek. Zerknęła na niego i mrugnęła porozumiewawczo. Nie odmrugnął, nie uśmiechnął się. Co za sztywniak! Pewnie chce jej okazać swoje święte oburzenie faktem, że na matematyce ośmieliła się pomyśleć o czymś innym niż równania z trzema niewiadomymi.

Kiedy Patrycja napisała w wiadomości: *Czaderska ta nowa fryzura, ale kolczyków trochę żal. Idziesz do Gośki na imprezę?*, Marcelina odwróciła się i zrobiła do siedzącej w ostatniej ławce koleżanki minę, która miała wyrażać: „Jeszcze nie wiem”. Nie odpisała, bo nie była pewna, czy ma ochotę na powtórkę z rozrywki. Po ostatnim wyjściu wyładowała pijana na wycieraczkę sąsiadki z parteru, w kurtce pokrytej wymiocinami i z okropnym uczuciem, że robi z siebie szmatę.

– Marcelina? – powiedziała nauczycielka zachęcająco.

Dziewczyna spojrzała na nią nic nierozumiejącym wzrokiem. Po chwili skierowała spojrzenie na tablicę. Widniał tam układ równań, który zapewne należało rozwiązać. Marcelina wstała i ruszyła po kredę.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytała matematyczka.

Klasa gruchnęła śmiechem. No tak, widocznie nie chodziło o rozwiązanie, pewnie pytała o coś zupełnie innego.

– Przepraszam, zamyśliłam się – bąknęła dziewczyna, czerwona jak burak.

– Gdybyś jeszcze zamyślała się na inny temat niż kolor paznokci albo nowe dżinsy, byłoby świetnie – skwitowała zgryźliwie nauczycielka. – Ale skoro już tu jesteś, proszę, rozwiąż to równanie.

Oczywiście Marcelina nie umiała. To znaczy właściwie umiała, radziła sobie z takimi zadaniami w domu – ale teraz, pod ostrzałem kpiących spojrzeń i złośliwych uśmiezków, nie była w stanie myśleć.

– Kto pomoże? – Padło kolejne pytanie. – Hubert? Chodź do tablicy.

Biorąc kredę z palców Marceliny, spojrzał jej głęboko w oczy. Była ciekawa, czy dostrzeżeł tam cały bezmiar upokorzenia, które w tej chwili odczuwała.

Dlaczego niektórzy nauczyciele są tacy wredni, pomyślała, kiedy już usiadła i zaczęła przepisywać z tablicy obliczenia, wciąż z czerwonymi ze wstydu policzkami. Dlaczego nie umieję rozmawiać z nami tak, żebyśmy nie czuli się

Urokliwe miasteczko na zachodzie Polski, a w nim malownicza kamienica z mansardowym dachem, pod którym toczą się pogmatwane losy jej mieszkańców.

Jak to w życiu, spotkamy na jej korytarzach namiętności i sekrety, marzenia i obawy, małe zwycięstwa i klęski.

Lena, dziewczyna pełna optymizmu i wiary w ludzi, nadal opiekuje się schorowaną babcią. Czy uda jej się odkryć jej tajemnicę z przeszłości? Czego szuka na krańcach Europy Borys, tajemniczy pisarz zamieszkujący poddasze? Jak potoczą się losy małżeństwa Markiewiczów i ich zbuntowanej córki? I czy Francesca zdoła odzyskać wiarę w miłość?

Zajrzyj raz jeszcze do Kamienicy pod Aniołami, które po cichutku czynią swoje cuda. Zanurz się w świecie pełnym sąsiedzkiej serdeczności, kobiecej przyjaźni i cichej, bezinteresownej dobroci.

wydawnictwofilialia.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 44,90 zł

ISBN 978-83-8357-306-9



9 788383 573069